

Za nami dość niesamowity tydzień, który przypominał graczom, że stara giełdowa strategia „kupuj plotki, sprzedawaj fakty” świetnie się sprawdza. W każdym interesującym rynki temacie grany był dokładnie ten sam schemat, czyli najpierw rozbudzano nadzieje, przygotowywano się na same dobre wieści, a ostatecznie wychodziło z nich co najmniej spore rozczarowanie.

Zaczynając od poniedziałku agencja Moody's obniżyła rating inwestycyjny Egiptu, ale ogólna reakcja inwestorów była dokładnie taka jakiej można było się spodziewać, czyli żadna. Egipt nie jest krajem ani rynkiem, który mógłby nadawać ton światowym trendom zwłaszcza, że liczone na szybkie rozwiązanie pokojowe po tym jak wojsko oświadczyło, że nie będzie strzelać do demonstrantów. Sytuacja w Egipcie posłużyła tylko i wyłącznie do spekulacji, że zagrożony może być kanał Sueski, którym transportuje się 25 proc. ropy z Arabii Saudyjskiej. Stąd też jedynym odczuwalnym skutkiem egipskich zamieszek jest ostatni wzrost cen ropy Brent powyżej 100 dolarów za baryłkę. Po tygodniu rozruchów wiadomo tylko tyle więcej, że są ofiary i nadal nie ma spójnej koncepcji na rozwiązanie egipskich problemów. Demonstracje i impas trwają dalej.

Drugą niespodzianką jaka spotkała rynki było czwartkowe posiedzenie ECB i konferencja Prezesa Jean Claude-Trichet. Bank oczywiście pozostawił stopę procentową na rekordowo niskim poziomie, ale miesiąc wcześniej wspominał o ryzyku wzrostu inflacji. W związku z tym od kilku dni euro drożało, bo gracze liczyli na kolejny bardziej jastrzębi komunikat banku. W końcu ceny surowców rosną, inflacja w cenach producentów jest już wysoka, a konsumentencka zaczyna wychodzić ponad akceptowalne pasmo wahań bankierów centralnych. Tymczasem zamiast zapowiedzi przyszłego zacieśniania polityki pieniężnej rynek dostał całkowicie przeciwny sygnał. Prezes ECB nie widzi ryzyka wzrostu inflacji, i uważa że jej dotychczasowa zwyczajka to krótkotrwały efekt wywołany czynnikami podażowymi. Przez to nie ma potrzeby zmiany podejścia w polityce banku. Na reakcję nie trzeba było długo czekać – euro zanurkowało do dwutygodniowych minimów. W sumie słowa Prezesa są słuszne, bo inflację windują rosnące ceny surowców i to jak najbardziej czynnik podażowy, ale przecież ich wzrost wynika z dostępu do taniego kapitału, który zamiast inwestować w środki trwałe ochoczo „inwestuje” się w aktywa chroniące przed inflacją, czyli właśnie surowce. Ta polityka zostanie zmieniona dopiero gdy w reakcji na wzrost cen pracownicy przypomną sobie o podwyżkach i tzw. „efekt drugiej rundy” mamy jak w bezpiecznym (czyli nie amerykańskim) banku.

Rozczarowania dotyczyły też strefy makroekonomicznej, choć miały one miejsce tylko w Stanach. Pozytywne sygnały dla rynków płynęły po polskim indeksie PMI dla sektora przemysłowego, który nie był tak wysoki jak oczekiwano, ale wynik 55,6 pkt. i tak jest przyzwoity i zapowiada wysoką produkcję przemysłową w lutym i marcu. Analogiczne indeksy PMI dla innych europejskich gospodarek też były lepsze lub co najmniej zgodne z prognozami, a ponadto stopa bezrobocia w Niemczech sięgnęła tylko 7,4 proc. i jest najniższa od 1992 roku. Najważniejszy był jednak piątek i dane z amerykańskiego rynku pracy. Przez cały tydzień pozytywne oczekiwania rosły jak na drożdżach, ale były ku temu powody. Najpierw optymizm rozbudził rekordowo dobry indeks Chicago PMI, który sięgnął 68,8 pkt. Prognoza mówiła tylko o utrzymaniu rekordowego w skali 22-lecia wyniku z poprzedniego miesiąca, a tymczasem rzeczywiste dane były jeszcze lepsze i szczególnie istotne były historycznie wysokie poziomy poszczególnych składników tego indeksu z sektorów nowych zamówień i zatrudnienia.

Dalej wtorkowy indeks ISM opisujący sektor przemysłowy w USA osiągnął poziom 60,8 pkt., a do tego sub-wskaźnik zatrudnienia, sięgnął najwyższego poziomu od 1973 roku. Dodajmy do tego jeszcze środowowy indeks ISM-usługi, który opisuje pozostałą część gospodarki, który także zbliżył się do rekordowych 60 pkt. Wystarczy dodać, że już odczyty powyżej granicy 50 pkt. sygnalizują rozwój, więc można było oczekiwać prawdziwego boomu w ilości nowych pracowników. Dla nieprzekonanych środowowy raport ADP opisujący zatrudnienie w sektorze prywatnym zapowiadał co najmniej 150 tysięcy nowych miejsc pracy. Po takiej powodzi optymizmu zderzenie z rzeczywistością było prawdziwym zaskoczeniem. Faktycznie stopa bezrobocia w Stanach spadła do zaledwie 9 proc. czyli poziomu najniższego od kwietnia 2009 roku, podczas gdy rynkowe prognozy mówiły o spadku do 9,5 proc., więc teoretycznie była to wyśmienita informacja. Praktycznie jednak całkowicie błędna ona przy ilości nowostworzonych miejsc pracy. Tych oczekiwano w styczniu prawie 150 tysięcy (prognoza i ADP), a pojawiło się... tylko 36 tysięcy. Skąd taka

rozbieżność spadku stopy i minimalnego zatrudnienia? Zwyczajnie ilość bezrobotnych obniżyła się o 590 tysięcy, z czego aż 162 tysiące osób zostało wyłączonych z zasobów siły roboczej, co znacznie poprawiło wartość procentową. Tłumaczenia komentatorów były takiej jak zawsze przy słabszych danych, czyli słaba pogoda (podobno aż 886 tysięcy osób nie dotarło w styczniu do pracy) oraz fakt, że styczeń to nie czas rekrutacji. Ja dodałbym żartobliwie, że skoro w dwa miesiące stopa bezrobocia spadła z 9,8 proc. do 9 proc. to tym tempem do końca 2011 roku bezrobocie w USA spadnie do zera.

Rozczarowanie na tak wielu formach nie przeszkodziło WIG20 obronić poziomu 2700 pkt. a zachodnim parkietom wyjść na nowe rekordy. Ta presja zagranicznych indeksów powinna na dniach przełożyć się na wzrosty na krajowym rynku, przy czym nowy tydzień pod względem makro jest już dużo uboższy, więc rządzić będzie technika i styczniowe szczyty mogą jeszcze sprawiać bykom problemy, jednak siła podaży będzie ograniczona do najwyżej kilku procent.

Paweł Cymcyk

Analityk

Makler papierów wartościowych

A-Z Finanse